

**NARCYZA  
ŻMICHOWSKA**

POGANKA

# Narcyza Żmichowska

## Poganka

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=23553314](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23553314)*

*Poganka: Fundacja Nowoczesna Polska;*

### **Аннотация**

Poganka to powieść autorstwa Narcyzy Żmichowskiej wydana w 1846 roku. Opowiada historię miłości Beniamina do pięknej Aspazji, tytułowej poganki. Główny bohater zaślepiony miłością do kobiety dystansuje się od dotychczasowego życia – jest w stanie zrobić dla niej wszystko, nie mówiąc już, że zaczyna zatracać się w tym uczuciu... Sama Aspazja za to bawi się jego uczuciami, zadowolona z powodzenia u mężczyzn. Poganka to powieść romantyczna, która zwraca uwagę swoim wyszukaniem językiem. Inspiracją do napisania tego utworu była ponoć nieszczęśliwa miłość autorki do Pauliny Zbyszewskiej. Sama Narcyza Żmichowska to reprezentantka doby polskiego romantyzmu. Jest ponadto uważana za jedną z prekursorok polskiego feminizmu. Jej światopogląd wpłynął znacząco na ukształtowanie sytuacji kobiet w Polsce.

# Содержание

I	4
II	32
Конец ознакомительного фрагмента.	46

# Narcyza Żmichowska

## Poganka

### I

Wyobraźcie sobie państwo zieloną *oasis* w pustyni Sahary, wyobraźcie w świecie dzisiejszym, w świecie złota, srebra, miedzi i gałganów na bankowe papiery przerobionych, rodzinę liczną, ubogą, a szczęśliwą – w tej rodzinie – lat temu dwadzieścia sześć, o godzinie pierwszej po północy, przy najpiękniejszym świetle księżycy, pełnią swoją rozświecającego najpiękniejszą noc sierpniową, urodziło się dziecko płci męskiej, dziewiąte z kolei – a rzecz dziwna, rzecz nadzwyczajna, przyjęte taką radością, takim błogosławieństwem jak upragniony pierwszy potomek gasnącego już imienia, oczekiwany dziedzic wielkiego majątku – lecz nie – bluźnierstwem jest to porównanie – dziecko przyjęte taką miłością jak wszystkie dzieci w miłości zrodzone – tym dziecięciem ja byłem. – Nad przygotowaną dla mnie kolebką nie zaciężyła żadna skarga, ni to starszej siostry, że w domu nowy kłopot będzie i nowych trudów się przysporzy, ani dobiegającego swej młodości brata, że mu jedna ręka więcej do rozszarpania spodziewanej puścizny przybędzie, ani drobniejszego rodzeństwa, że się zaczną dla niego chwile

przymusowej cichości – narzuconego rozsądku, uskąpionych<sup>1</sup> pieszczot – ani matki, że z danym życiem jej życia się ujmie, – że ją noce bezsenne, karmienie, prace hodowania czekają – ani ojca nawet, że ciężkie czasy, że wychować będzie trudno, że na obmyślenie zawodu, sił i sposobu już nie wystarczy – dziwna rzecz, stokroć dziwna, tego wszystkiego nie było.

Matka z siostrami ze starej bielizny poszyły pieluszki moje. – Jeden z braci na niespodziewankę<sup>2</sup> upłócił zupełnie nową kołyskę, a ojciec, kiedy mnie pocziwa babka na pokazanie w poduszce przyniosła, przeżegnał mnie krzyżem świętym. – „Oto człowiek świata się narodził” rzekł tylko i ze łzami w oczach i z uśmiechem na ustach poszedł co prędzej do żony swojej, pocałował ją w czoło, pocałował ją w rękę i nie odszedł, aż póki osłabiona, lecz ciągle niewymownej słodczy jaśniejąca radością, z nowo narodzonym przy boku, nie zasnęła spokojnie.

I takie były moje narodziny. – Przez długi czas nie miałem imienia: zwano mię tylko maleńkim – synkiem – pieszczotką – a narady odbywały się długie, jak zwać miano na później, – Teresa, moja mała poprzedniczka w rodzeństwie, załatwiła wszelką wątpliwość; kiedy jej na starych obrazkach opowiadał jeden z braci historię synów Jakubowych, tak się rozmiłowała w małym Beniaminku, że gdy wieczorem wznowiono o wkrótce nastąpić mającym chrzcie moim rozmowę – dziewczynka siedząca w tej chwili nad kołyską, uroczyście wzniosła swój

---

<sup>1</sup> *uskąpiony* – dziś raczej: poskąpiony. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *niespodziewanka* – dziś: niespodzianka. [przypis edytorski]

paluszek do góry i powiedziała stanowczym głosem:

– Ty, maleńki, będziesz Beniaminkiem.

Od tej chwili nadano mi imię Beniamina.

Pocziwa Teresia! zapomniano jej powiedzieć, że Beniamin pierwszą wolą matki swojej zwał się Benoni, a Benoni, to znaczy „syn boleści”, a matka moja, rodzeństwo moje pochwyciło wyraz dziecięcia, bo im do serca przypadał, a ojciec go zatwierdził, bo takie było miano jego wielkiego bohatera – jego ideału wśród sławnych mężów – Franklina. – Z tej czci dla Franklina możecie państwo odgadnąć cały charakter mego ojca, jeśli tylko trochę choć biegłymi jesteście w zauważaniu tych stosunków tajemnych, a zawsze logicznych, które upodobania i różne sympatie człowieka z treścią jego własnej natury łączą. – Co do mnie taki mam w tym względzie przynajmniej niechybny instykt, że raz gdym w galerii Luwru widział pięknego młodego człowieka, jak się długo z najspokojniejszym obliczem zatrzymał przed Katonem Valasqueza, co sobie piersi tak krwawo, tak okropnie rozdziera – powiedziałem zaraz – to zły człowiek – i sprawdziły się słowa moje – ten człowiek był anatomem ludzkiego serca, spotkałem go później na salach sądowych ciekawym bardzo widzem, a w ostatniej chwili świadkiem przeciw obwinionemu – na moje sumienie wierząc, obwinionemu niewinnie. – Lecz wracając do osobistej biografii, już wiecie, pod jakim wpływem – w jaką atmosferę niejako dostałem się na tę ziemię – zstąpiwszy według dawnych – wstąpiwszy według nowszych – a odrodziwszy się według

najpodobniejszych do prawdy mniemań. – Jak mnie tak długo usypiano, pieszczono, kołysano bez mojej wiedzy, jak ja rozwijałem się w tym ciepłe uczuć, w tej pogodzie szczęścia, – jak mi cała treść mojej istoty nasiąkała niejako tą pieśnią miłości różno i wszechstronnej – och! gdybym mógł pamiętać! – ale ja nic – nic nie pamiętam – a jednak to było już życie moje – to była już przyczyna jakaś późniejszych następstw, chwila rodzicielka wszystkich chwil, wszystkich lat moich. – Kiedy się pierwszy raz poczułem i obejrzałem na świecie, znalazłem już jej owoc w głębi ducha mego i stał mi się tym, co nazywają skłonnościami, charakterem, naturą. – Każdy mnie kochał – ja się ocknąłem kochając każdego, ale to kochając tak niezbędną koniecznością organizmu, jak się oddycha, je – pije – przed kochaniem nie było dla mnie przeszłości, jak przed Bogiem nie było początku – lecz nie dosyć na tym – ci wszyscy moi poza mną kochali jeszcze wszystkość w różnych objawach – w różnych jej kształtach – a było coś pięknego, świętego w wyborze tych kształtów i tych objawów – każdy coś kochał na swoją własność szczególną – tyłkoż bierzcie to w dosłownym znaczeniu, kochał, nie lubił.

Moja najstarsza siostra Julcia kochała dumki ukraińskie – a mój brat Adam kochał niebieskie oczy córki bliskiego sąsiada – a mój brat Józef kochał ziemię, której uprawą się trudnił, a moja siostra Ludwina kochała wodę bieżącą i kwiaty niezerwane – a mój brat Karol kochał psa, konia i strzelbę swoją dwururkę – a moja siostra Bronisia kochała gwiazdy i niebo – a mój brat Cyprjan kochał obrazy – a moja siostra Terenia kochała

powieści, a mój ojciec kochał książki, a moja matka kochała ludzi – i tak dla mnie pierwsze wrażenia z ich wszystkich ulubionych wrażeń się złożyły.

Najdawniejszy obrazek, w którym Julcię pamiętam, to jakaś ławeczka drewniana pod otwartym oknem. Dzień był bardzo ciepły niby, ale taki pochmurny, jak gdyby kto ołowiu po niebie rozlał. – Julcia nad szyciem schylona śpiewała taką rzewną, takich przeciągłych, a coraz smętniejszych tonów piosnkę – że widać nie mogły się w ciężkim rozpląnąć powietrzu, tylko mi wszystkie siedzącemu przy jej nogach o piersi się odbijały i zacząłem płakać. Julcia spojrzała na mnie – przez chwilę umilkła, lecz w tym milczeniu, mój płacz cichy zrazu wybuchnął prawdziwej boleści łkaniem, wtedy siostra przytuliła mi głowę do kolan swoich, upieściła gładzącą włosy ręką i znowu śpiewać zaczęła – a ja znowu zacząłem cichuteczko płakać i było mi z tymi łzami tak dobrze, tak miło, jak nigdy z podarowanym przez starą piastunkę ptaszkiem – wesołą makolągwą – co do mnie w klateczce, na każdy widok skrzydełkami trzepotała.

Adama pamiętam najpierw wchodzącego do pokoju z jakąś białą, biało ubraną dziewczynką. – Kto to jest? spytałem go. – To siostrzyczka wasza, odpowiedział z uśmiechem. – Nasza siostrzyczka Adasiu? powtórzyłem zdziwiony, a czemu ja jej nie znam – gdzie ona była? – Osiemnaście lat temu była w niebie jeszcze! – Gdy zaś z niedowierzaniem patrzyłem to na niego, to na nią; – w niebie, rzekł znowu – spojrzysz tylko w oczy tej siostrzyczce, widzisz, jaki to szafir jasny i czysty, czyż w dzień

najpogodniejszy niebo inne bywa? Spojrzałem, dziewczynka zarumieniła się i głośno rozśmiała, ja wykrzyknąłem z radością.

– Ach prawda, takie same, Adasiu, jak oczy naszej siostrzyczki.

– Nigdy nie mów naszej do mnie, Beniaminku – bo to twoja i wasza siostrzyczka, ale nie moja – pamiętaj, że nie moja. – To ty biedny Adasiu, że masz mniej od nas jedną siostrzyczkę. – Czy ja biedny? spytał brat, odwracając się do białej dziewczynki z uśmiechem, choć mu słowa na ustach drżały. – Dziewczynka owinęła się prawie jak kwiatek ślazowy koło ręki mego brata – głowę miała spuszczoną, a jednak bez namysłu, pewniejszym daleko niż głos pytającego głosem, odpowiedziała mu prędko.

– Nie, ty nie biedny, ty bardzo bogaty Adamie. – Ja szczęśliwy przydał, jak gdzieś na dnie serca wymówionym słowem i nie wiem czemu wziął mię na ręce, a uścisnął tak tkliwym, tak drżącym, gdy dziś o nim myślę, to mi wolno powiedzieć, tak namiętnym uściskiem, że go nawet spytać zapomniałem o wytłumaczeniu dla mnie zupełnie niezrozumiałych wyrazów. – Później – nawet niedługo – pojąłem całą świętość ich znaczenia.

– W naszej rodzinie miłość nie była ani tajemnicą towarzystw salonowych przyzwoitości, ani zgorszeniem przed okiem dzieci bacznie ukrywanym. – U nas miłość, to szczęście życia, ta najpiękniejsza prawda Boża szła z podniesionym dumnie czołem – wśród spółczucia, wśród skromnego uszanowania i uznania serc życzliwie przyjaznych. – Raz kiedy po przeczytaniu przez Walerię poezji Bohdana, Adaś zbliżył się do niej i wzięwszy w obie ręce ową złotowłosą główkę, w same nieco otwarte

usta pocałował, kiedy Walercia od czoła po ramiona tym całunkiem zakraśniała, kiedy mimowolnym rzutem przechyliła się ku siedzącej obok niej matce mojej i skryła się jak ptaszek w jej objęcia – toć ja dobrze dziś pamiętam jeszcze, nikt z nas się nie uśmiechnął nawet, nikt żartem chwili szczęścia kochankom nie rozstroił; Matka tylko Adasiowi znak dała, żeby się schylił ku niej, i trzymając ciągle Walerkę do łona przyciśniętą – na głowie schylonego tkliwy, jakby powierzony tylko, a święty jak błogosławieństwo z głębi własnej piersi wyciągnięty, złożyła pocałunek.

Józefa najstalszym przypomnieniem widzę wśród zniwiarzy na polu. – Śmieje się, snopki wiąże, na wyładowanych zbożem wozach z fornalami się ściga, a na jeden ładowany mnie winduje i ja siedzę przy nim jakoby na tronie, a on mi pokazuje ziemię, królestwo wszech ludzi, przyszłe państwo moje, które ja prawem natury odziedziczę, a w którym pracą rządzić będę – i nazywa mi wszystko ślicznymi słowy – żyto srebrem, pszenicę złotem – czerwieniejącą tatarkę purpurą; a ja mu wierzę, że to jest właściwie srebro, złoto, purpura – że innych nie ma w świecie. – Józio po drodze zrywa dla mnie ukoralone już gałęzie jarzębiny, którą na kilka staj rodzice wysadzili gościniec – ja sam trzymam pęki zbieranych modraków – kąkoli – bratków – kłosów dojrzałych żyta – niedojrzałych owsa – i mieszam te białe i te zielone kity w różnych zastosowaniach – to między grona jarzębiny, to między modraków równianki – i czuję, że mam wszystko – że natura w korzyściach – w piękności swojej, natura

cała – natura zawsze moją. Tylko sobie słowami tego nie mówię, ale uczuciem, czynem, chwilą w życiu mam. —

Ludwinę moją najmniej ładną, najcichszą, najtęskniejszą z całego rodzeństwa siostrę, pamiętam najdokładniej w obrazku, nad którym może najdłużej, może najpierwej główka moja rozmyślać zaczęła. – Przy końcu naszego sadu za rzędem wierzb bujnie rozrosłych, płynęła rzeczka maleńka – bezimienna, wąska, tak że się zdało przeskoczyć ją można, a żwirem drobniuteńkim na dnie wysypana, że tylko liczyć, tylko zbierać jego ziarna różnokolorowe – nad tą rzeczką usiadła sobie Ludwina tuż przy brzegu, przegięła się nieco i w wodzie do połowy odbiła się jej postać – a woda odbitą kołysała równie, ciągle, spokojnie jak do snu. – Zmęczony bieganiem przyklęknąłem obok Ludwinki i zacząłem gałązką pluskać w srebrne kropelki.

– Nie budź mnie, Beniaminku – szepnęła tylko siostra – i to tak cichutkim głosem, że ledwo dosłyszeć mogłem.

– Czy ty śpisz Ludwinko? – spytałem.

– Śpię, śpię, braciszku – odpowiedziała jeszcze ciszej, ale ja patrzyłem w jej oczy i widziałem, że oczy choć ku wodzie spuszczone, niezamknięte, niezaspane były.

– Och! żartujesz – zawołałem z pustotą, i uderzyłem jeszcze mocniej, aż się cała nadbrzeżna woda zmąciła.

Ludwinka drgnęła, jak gdybym to ją był moją gałązką uderzył.

Obudziłeś mię – rzekła bardzo, bardzo smutnie – i ja zaraz poczułem, że coś złego, coś najgorszego zrobiłem, przykrość

temu, co już cierpiał.

– Ale kiedyś ty nie spała – rzekłem na ostateczne usprawiedliwienie – tyś nie spała, Ludwinko – dodałem z prośbą. – Siostra nic mi nie odrzekła na to, tylko mię wzięła na rękę i pochyliwszy się wraz ze mną, na uspokojoną wodę lekko palcem wskazała. – Zobaczyłem siebie i Ludwinę. – Jak zwierciadełko zabawił mnie ten obrazek, lecz z wolna, im dłużej w niego patrzyłem, tym zupełnie ogarniała mię jakaś senność, a nie oczu, nie ciała, bo oczy miałem roztwarte, bo ciało silnie w jednymże utrzymanie wygięciu – była to raczej senność mojego odbicia – jakiejś cząstki ze mnie, co na drobno łamaną falę rzeczki padła i w jej kryształach chwiała się jednostajnie bez przerwy – bez zmiany. – Ale na błękitnym tle nieba, którego barwą rzeczka jakby własnym swoim kolorem płynęła, tuż nad naszymi głowami właśnie osunął się odłamek srebrnego obłoczku i przerwał jedność widzenia – zaraz pobiegły za nim oczy moje dziecinne – lecz obłoczek i na niebie, i w rzeczce gdzieś zginął.

– A gdzie on – gdzie on? Ludwiko?

Ludwika nie patrzyła za obłoczkiem, jednak widziała jego przejście i zrozumiała pytanie.

– Daleko – odpowiedziała mi tak jak pierwej szepnięciem jedynie. – Gdzie to jest daleko, moja Ludwinko? – ja nie wiem gdzie to jest daleko. – Ludwika zamyśliła się czy nad sposobem wytłumaczenia, czy nad treścią wyrazu, nie wiem – po chwili wstrząsnęła główką – jakby resztę uśpienia lub resztę wrażeń z

czoła odpaść jej przez to miało i rzekła nieco wyraźniejszym, ale zawsze tak stłumionym jak przy zwierzeniu tajemnicy głosem.

– Pytasz mię gdzie to jest daleko Beniaminku? – oto patrz – chcesz gonić za tą wodą, co tak wolno płynie, nie dogonisz – nie dogonisz – woda ucieka do Sanu – San ucieka do szerokiej Wisły – a Wisła ucieka do głębokiego morza – a morze? ja ci nie powiem gdzie to jest. – Morze daleko. – A teraz tam na końcu tej łączki widzisz, jak niebo tuż do ziemi przytyka, idź po szafirowy kawałek tego nieba – idź przez łączkę – niebo będzie za polem – idź przez pole, niebo będzie za lasem – idź przez las – niebo będzie znów za łączką – znów za polem – lasem – rzeczką, a gdzie jest niebo. – Ja ci tego nie powiem. Niebo jest daleko – daleko. – A teraz przynieś tu klatkę z twoją makolągwą wyżywioną, wypieszczoną, przez całą zimę – teraz jest wiosna Beniaminku, kwiatki kwitną, drzewa się zielenieją, ptaszków mnóstwo śpiewa wszędzie. Otwórz klatkę braciszku – otwórz – zobaczysz, jak makolągwa, co cię kochała, co ci z dłoni ziarnka jadła, z ustek wodę ocukrzoną piła, zobaczysz, jak makolągwa ku wiośnie, ku nowym kwiatom wyleci, a tobie będzie smutno za nią i spytasz może – Ludwinko, gdzie ptaszyna? – a ja ci tego nie powiem Beniaminku, bo ptaszyna daleko – och daleko! dalej niż woda rzeki, którą gonisz, dalej niż niebo, którego chcesz dostać, dalej niż nadzieja, dalej niż niepodobieństwo – dalej jest to braciszku, co nas w życiu opuszcza – co nas kochać przestaje. – I Ludwinka znów pochyliła się nad wodę rzeczki, tylko jej obrazek zadrżał trochę więcej niż przedtem i rozstał się pod dwoma

kroplami, które nań spadły po chwili. – Obejrzałem się, twarz Ludwika była bardzo spokojna, ale długie, jasne rzęsy jej siwych oczu świeciły jeszcze czystą łezką ostatnią. – Na patrzącego niespokojnie Ludwinka wzniosła długie, smutne spojrzenie.

– Beniaminku – rzekła jednak dość wesołym głosem – po co pytać, gdzie to jest *daleko* – oto lepiej biegnij się bawić kwiatkami – kwiatki zawsze blisko – a najczęściej nisko rosną braciszku – i lekko zsunęła mię z kolan, lecz ja nie pobiegłem według jej rady, tylko sobie poszedłem brzeżkiem rzeczki i próbowałem, czy też ja się dostanę daleko – do morza albo do nieba. Szedłem, szedłem ciągle, za ogród – za pole – i domek nasz z oczu straciłem i gdy mię nóżki boleć zaczęły, gdym przed sobą zobaczył las ciemny, nieznany, a końca rzeki nie zobaczył – gdym ręką wyciągniętą iglastych krzaków jałowcu się dotknął, a nie dotknął ściany nieba – wtedy dopiero zrozumiałem, co to jest „daleko” – i zrozumiałem co to jest „kiedyś w przyszłości”.

Ja tam „kiedyś” dojdę, rzekłem sobie, kiedyś – jak starszym będę i wracałem uspokojony tym zamiarem i po drodze zbierałem kwiatki dla mojej siostry Ludwinki. – Uzbieranymi zmienacka zasypałem w tymże samym miejscu, tak samo nieruchomie nad wodą siedzącą.

Ludwinka zgromadziła je wszystkie, popatrzyła chwilkę i zwracając się ku mnie:

– Szkoda – rzekła – szkoda tylu kwiatków Beniaminku. Potem wzięła, wybrała co świeższe, co trwalsze, co w ciepłe rąk moich nie zwiędły i każdy kwiatek kolejno i starannie w wilgotnym

piasku nadbrzeża sadzić zaczęła, jak czasem dzieci w swoich sztucznych jednogodzinnych zasadzają ogródkach. – Pomagałem jej w tej pracy, odgadłem ja, dziecię, ją, marzycielkę kobietę – lub raczej nie odgadłem, uczułem tylko, co ona czuła i gdy wszystkie zasadziliśmy, kwiateczki świeżością zajaśniały.

– Im tu będzie lepiej – odezwałem się swobodnie – lepiej niż tam na polu pod skwarem słońca, nawet dłużej będą żyły.

– Ale gdy wędnać przyjdzie, to smutniej zwiędną – odpowiedziała siostra, a ja nie pytałem o słów tych znaczenie – to były także słowa mojego instynktu.

Brata Karola nie przypominam sobie wyłącznym wspomnieniem w pierwszych chwilach mojego dzieciństwa, bo Karol z nas wszystkich najmniej w domu przesiadywał. Przy rozdziale ogólnej gospodarskiej pracy jemu się część leśna, bardziej domyślną należnością niż wyraźną ugodą dostała. – Może już dziewięć lat miałem, kiedy się pierwszy raz stanowczo osobną w moim życiu wyrył pamiątką. Zdaje mi się, że go dziś widzę jeszcze, rześki dwudziestoletni chłopak, opalony jak góral, ciemnowłosa, czarnooki, w zielonej bajowej burce. – Świsnął i na świśnięcie poskoczył ku niemu wielki czarny brytan. – Karol go dla tej barwy przezwał Molochem, lecz nieraz żał mu było, że tak najszlachetniejsze, najulubieńsze mu zwierzę, czartowskim mianem zbeczcęcił; – chciał mu je zmienić nawet, ale mu w tym Ludwinka przeszkodziła – „Niechże i Molocho zacznie być dobrym, choćby jako zwierzę tylko” rzekła do niego. – A Karol, jakkolwiek wszystkim dość częsty i dość

zwawy stawiał opór – to nigdy Ludwince. Ludwinka była jego wybraną, jego najukochańszą z ukochanych, więc też Moloch został Molochem. – A był to pies rzadkiej cnoty – rzadkiej siły i odwagi – zadziwiającego instynktu – nigdy nie ukąsił nikogo; lecz kiedy mu się kto nie podobał, to go na ziemię wywrócił i trzymał go spokojnie, ale mocno dopóty, dopóki kto z domowych obronić nie wyszedł. – Karol nigdy nie byłby zaufał tak przyjątemu od Molocha gościowi – i kiedy chciał o kim powiedzieć, że złym jest człowiekiem – to mawiał zwykle: „Poterałby go Moloch, oj poterał, jak się należy”. – Wspanialszego ani łagodniejszego w całym psim rodzie nie widziałem stworzenia, choćby czasem jaki pokojowiec i szczeknął, i rzucił się na niego – to Moloch dumnie tylko machnął ogonem, otrząsnął się jakby z wody lub kurzawy i szedł dalej w niezachwianej powadze swego majestatu. – No, nie śmiećcie się państwo, że wam tyle o tym Malochu prawie – w całym życiu nie spotkałem podobnego jemu... człowieka.

– Ha tak, człowieka nawet – co najsilniejszy swej siły by nie nadużył. – Są silni świętymi, ale najsilniejszy – jeden wśród nich najsilniejszy – może zresztą przypomnieć sobie – ja przypomnieć nie umiem – okropnie w tych latach ostatnich mego życia na pamięci podupadłem. – Jednak dziwna rzecz, jak wszystko, co dawniej było, wszystkie te najpierwsze obrazy i znam dobrze, i patrzę na nie czystym okiem, i widzę je dokładnie. – Och ten ogromny, ten poczciwy Moloch, jak on wybiegł ze swojej budy i swemu panu się radował, gdyż nie użyję na Molocha tego słowa, łasił – Moloch się nigdy nie

łasił nikomu, Moloch witał, Moloch się cieszył, bawił, albo wywracał na ziemię. – Karol przyjął uśmiechem szczery objaw Molochowego przywiązania, poklepał go po karku z taką miną, z jaką to czasem oficer żołnierza po ramieniu klepie, kiedy mówi o nim do drugiego oficera – patrz, to tęgi wiarus. – Potem Karol zawołał: „Zitta” – i ze stajenki naszej wybiegła w poskokach składna jak sarenka, kara jak noc klaczka, prawdziwie tureckiej rasy, już okulbaczona i pąsowym pokryta czaprakiem. – Tę klaczkę ojciec przypadkowo nabył bardzo tanio źrebięciem jeszcze, małym i słabym nawet, od wojskowych kwatery swoje porzucających. – Darował ją Karolowi pod warunkiem, żeby on sam na jej utrzymanie zarobił. – Ten warunek z bogacił<sup>3</sup> mnie później przy narodzinach zupełnie nową kołyską; bo chłopiec, co by za konia był pewnie krwi swej nie pożałował, nie pożałował i czasu. – Wyuczył się koszykarstwa, wiązał miotły, splatał słomiane płachty do podłóg sieniowych, i w pobliskich miasteczkach przedawał, a co ładniejsze to nawet do samego Lwowa posyłał. – Tym sposobem Zitta miała zawsze pod dostatkiem najwonnejszego siana, najsmaczniejszego obroku – a jak dorosła, to się i siodło znalazło. Spotykały też nieraz Karola i sute w tym względzie wsparcia – na kolędę często po kilka korców owsa przysypano mu do jego składu, a przed rokiem w dzień urodzin, przy łóżku śpiącego jeszcze siostry rozwiesiły ów pąsowy czapraczek, w którym Zicie tak prześlicznie było. – Napoleon, co w paczce czekolady – książęcy tytuł Lefebvrowi

---

<sup>3</sup> *z bogacić* – dziś: *wzbogacić*. [przypis edytorski]

przesłał, nie zrobił mu pewnie miłszej niespodzianki. – Karol z radości nie mógł przyjść do siebie, bo on po zaprosku swoją Zittę kochał, on ją sam karmił, poił, upiększał, a pewno nie byłby jej sprzedał za wszystkie Galicji i Lodomerii skarby. – Zitta była jego czarną orlicą, jego dziką Murzynką, jego zaklętym w konia płomieniem. – A było też widzieć, jak Zitta patrzyła na niego swoim zmyślnym, dziwnie połyskliwą białością, ode łba odciętym okiem. Jak mu czasem ów łeb na ramieniu, z jakąś lubością wschodnią, miękką, wdzięczną a namiętą oparła – jak na głos jego przybiegała z daleka, a posuwisto, a lekko, a chyżo, a doprawdy nie dopatrzyłby człowiek, czy tam ona kopytami ziemi dotknęła się nawet. – Oj Zitta! Zitta! niedawno śniło mi się o niej – i mówcie tam sobie co chcecie moi państwo, ja po tym śnie przez cały dzień nazajutrz weselszy i młodszy byłem. – Otóż więc we wzmiankowanej chwili moich wspomnień widzę Karola wśród wszystkich jemu najmilszych przedmiotów, bo zapomniałem powiedzieć, że miał na plecach swoją dwururkę Augustówkę – fuzja jak cacko – świecąca – leciuchna, niby klejnocik kobiecy, a pewna, niechybna, jakby sama do celu trafiała; zdawało się, że strzelającemu dość ją było wziąć do ręki i spuścić kurek, choćby z zamkniętymi oczyma. – Karol, który lubił wszystko imieniem znaczyć, nazwał ją sobie: „kochanką”. Raz, jak zaczął mówić o jej doskonałościach, o jej piosence dla ucha najmilszej, to aż się ktoś z mniej go znających zapytał: „czy daleko stąd mieszka ta młoda osoba?”. – Młodą osobę Karol przedstawił z największą powagą, ku największemu

zadziwieniu pytającego. – No, chłopcze, zawołał wtedy, czy chcesz się przejechać ze mną? – Ja na odpowiedź wyciągnąłem rękę do góry, żeby co prędzej siodła się uchwycić, ale bez strzemięcia trudno mi było nań wskoczyć. Brat się uśmiechnął, widząc moje usiłowania i gwizdnął właściwym sobie sposobem. Na gwizdnięcie Zitta przyklękła, cienką swoją żylastą szyjkę tak wyciągnęła ku mnie, że ją mogłem rękami objąć, a gdy objąłem, gdy się na grzbiet jej przerzuciłem, Zitta zerwała się równymi nogami i tylko jakby na umocnienie mnie siedzącego, karkiem silnie wstrząsnęła. – Obwińże go dobrze burką, żeby nie zmarzł! odezwała się przez okno patrząca matka.

– Obwinę, obwinę, bądźcie spokojni – odkrzyknął Karol i wziął mię przed siebie, do piersi jedną ręką przycisnął, a drugą lekko uzdeczki potrząsnął. Na ten znak Zitta sunęła – sunął Moloch i w kilka minut już dom i wioskę straciliśmy z oczu.

Dzień był prześliczny, mroźny wprawdzie, że aż śnieg skrzypiał, ale taki jasny, taki ubrylantowany słońcem, że aż w oczy ćmiło. – Pędziliśmy z bratem – pędzili, aż na koniec i w bór się wjechało – ja się nie mogłem nacieszyć iskierkom różnołśniącym po drzew gałęziach, po drodze naszej rozsianym, i tej czarnej Zitcie i temu czarnemu Molochowi, wśród owej dokoła rażącej białości. Nagle Zitta strzygła uszami – Moloch stanął i sierści najeżył. – Bratu rozdeły się nozdrza, cmoknął ustami, jakby chciał powietrze ucałować i konia zatrzymał.

– A to co będzie Karolku? – spytałem.

– Cicho, cicho, to wilk.

– O wilkach słyszałem tylko z powiastek Teresi, powiastki były okropne, lecz i moja ciekawość wielka. Brat się przechylił, popatrzył mi w oczy i tę rękę, którą mię obejmował, bardziej na lewy bok przesunął. – Spojrzeniu jego dość spokojnym odpowiedziałem spojrzeniem, jednak ręczyć nie śmiem, czy pod ręką brata coś tam w piersiach moich silniej nie zastukało.

– Dobrze, dobrze! wcale nieźle, – poszepnął Karol sam do siebie, a potem głośniejszym głosem dodał:

– Zabijemy wilka, Beniaminku!

– Jak to, czy i ja go zabiję?

– I ty, chłopcze – tylko uważaj, baczność – przytul się do mnie plecami, tak, dobrze – teraz – wziął fuzję, wymierzył – teraz daj tu obie ręce, trzymaj, gdzie ja trzymam – i ułożył mi palce na kurku i na moich dopiero swój własny położył. W czasie tych przygotowań mały punkcik na drodze z dala czerniący przybliżył się wolno, poważnie jak monarcha w granicach państwa swojego – było to ogromne wilczysko. Moloch warknął, Zitta parsknęła, Karol zawołał „psyt” i znów wszystko ucichło, a wilk szedł naprzód nieustraszony – zuchwały. Ten wilk, dowiedzieliśmy się później, był sławny w okolicy. Dopiero na kilkanaście kroków od nas dał ogromnego susa. Moloch także nie mógł wytrzymać – rzucił się naprzód, ale Karol głośno zawołał znowu – leżeć – i Moloch przyległ, skowycząc wściekle i tarzając się po śniegu, jakby z rozpaczą upokorzenia. Wilk stanął – w tej chwili brat mi palec nacisnął – strzał wypadł i śnieg się zarumienił czerwoną farbą. – Ale prędzej niż to wszystko mogliśmy spojrzeniem

objąć, zwierzę skaleczony rzucił się prosto do piersi Zitty – klacz przeraźliwie zarżała i tak gwałtownie cisnęła na bok, że ja, który się ani siodła, ani brata nie trzymałem w tej chwili, spadłem jak kulka na ziemię. – Kiedym się zerwał równymi nogami – pamiętam w najdrobniejszych szczegółach obraz, który mi się przedstawił. Takich obrazów mam kilka w mej duszy – mimo wiedzy prawie odbiły się na niej tak dokładnie – tak silnie, że czasem aż się sam wydziwić nie mogę, skąd mi do pamięci wracają wycieniowane zupełnie jak obecność. – Z tego obrazu na przykład widzę doskonale nie tylko mego brata, co z siodła zeskoczył – przede mną stanął i obie ręce rozgarnął, by mnie własnymi piersiami lepiej od wszelkiego niebezpieczeństwa zasłonił, nie tylko Zittę, która się wspięła, pod przemożnymi łapami wilka, co choć targany przez Molocha jej napierśnika trzymał się jeszcze – nie tylko Molocha, co w kudły przeciwnika łeb zanurzył, w rozszarpane mięso tak pysk utopił, że mu go nawet już widać nie było – nie tylko wilka owego, jak na tylnych łapach wzniesiony odwrócił się do nieprzyjaciela, gwałtownym karku przegięciem; ale widzę krwawo migotliwe jego spojrzenie, buro-żółty połysk sierści – widzę wszystkie zęby w rozwartej paszczęce i mógłbym je anatomowi wyrysować bez uchybienia żadnego.

Karol po tej pierwszej chwili niespokojności usunął się przede mnie, wziął fuzję i z najzimniejszą krwią do rąk mi ją podał znowu – jednym rzutem oka wymierzył – za palec mój pociągnął i wilczysko ani zipnęło już nawet. – Brat

prosto poszedł do Zitty, piersi jej trochę okaleczone chustką przyłożył, rzemieniem trzęśli obwiązał, Molocha pogłaskał, za uszy wytargał, w łeb szeroki pocałował, potem skoczył lekko na siodło i znów gwizdnął, żeby Zitta przede mną uklękała. – Przez całą drogę rozmawialiśmy, jakie to śliczne z tego wilka będzie futro pod nogi dla matki – rozmawialiśmy o wielu innych rzeczach – tylko jeden wyraz żadnemu z nas do ust się nie przyplątał – wyraz „bojaźń”. – Karol nie wspomniał go i w zapytaniu nawet; dał mi uczuć szczęście pierwszego zwycięstwa jako najnaturalniejszą własność, jako przynależne mojej ludzkiej istocie zdarzenie. – Później coraz częściej brał mię z sobą na polowanie – i kiedym zabił pierwszego dzika, aż mię uściskał z radości, lecz uściskał dlatego, że dzik był pysznym odyńcem, a nie dlatego wcale, że mu dałem na pięć kroków do siebie przypędzić i tak celnie trafiłem, jak gdyby kulę życzenie poniosło.

Siostra Bronisława jedno słowo tylko rzuciła w życie moje. Nie pamiętam, która to już była rocznica mych urodzin – przypadała, jak widać, w tej chwili rozwijania się, kiedy człowiek zaczyna głowę podnosić i w niebo spoglądać. – Późnym wieczorem siedziałem na kamieniu pod szeroką, cienistą lipą na samym środku dziedzińca rosnącą. Bronisława siedziała przy mnie, milczeliśmy oboje; ale powietrze, ziemia, niebo całe, odzywały się do nas jakimsiś wyraźnym, choć nie wyrażonym głosem rojących nad trawami owadów, hukających żab po stawach, drżących w chłodzie listków drzewa. – Księżyc znowu

był w pełni, gwiazdy wszystkie tak przed nim zbladły, że gdzieś z dala od niego ze dwie ich ledwie świeciło, a białe chmurki goniły się po ciemnobłękitnej przestrzeni jak rozigrane trzody białorunych owiec niewidzialnego pasterza albo jak stada śnieżnych gołąbków, albo też rozkładały się w srebrne pióra żeglujących po wodzie łabędzi, unoszących się orłów. – Czasem nawet przepłynęła jakaś łódka z tajemniczymi postaciami; czasem niby anioł w długiej powłóczystej szacie, bo i czegoż ja tam nie widziałem! – aż siostra wzięła mię za rękę. – Beniaminie – rzekła, gdyż ona jedna nigdy pieszczotą nie zmieniała imienia mojego.

– Beniaminie, czy słyszysz?

– Och! słucham ciągle siostrzyczko, wszakże to łąki i drzewa tak grają.

– Beniaminie, czy widzisz? – spytała znowu i wskazała do góry.

– Och, patrzę ciągle siostrzyczko, bo to piękniejsze niż wszystkie Cypriana obrazki.

– Beniaminie, a czy czujesz co w twojej własnej piersi? – i przyłożyła mi rękę do serca.

– Ja czuję – odpowiedziałem po chwili – że tak mi dobrze, jak kiedy Julcia śpiewa, jak kiedy mię mama na kolana weźmie, jak kiedy mię Karolek na swoją Zittę wsadzi – i lepiej jeszcze, bo mi jest tak dobrze, jak wtedy kiedy nie ze zmartwienia płacząc i kiedy w radości śmiać się nie mogę, jak kiedy chciałbym was wszystkich jednym objęciem uściskać i wszystkiemu jednemu

rzutem oka zapanować. A to wszystko razem jest... ja ci nie umiem powiedzieć, czym to jest siostrzyczko.

– A ja ci powiem, Beniaminie – tylko pamiętaj na całe życie swoje – to co słyszysz w tej chwili – co widzisz przed sobą, co czujesz w sobie – to wszystko – śpiewne, piękne, jasne, szczęśliwe – to wszystko jest Bóg...

I zachowałem słowa Bronisławy, jako sama kazała, na całe życie moje – i przerzuciłem wiele ksiąg mądrych i niemądrych – kłamstw i prawd nasłuchałem się wiele, namarzyłem więcej jeszcze; lecz w każdej chwili, i po każdym przejściu wracały mi te w dzieciństwie od siostry usłyszane wyrazy. Na nich rozwinął się ciąg ducha mojego, zaprzeczyłem sobie samemu, nie zaprzeczyłem im. – Byłem zmartwiony a bolejący – lecz choć nie czułem, widziałem przynajmniej zawsze, że wszystko śpiewne, piękne, jasne i szczęśliwe to Bóg – że mądrość to Bóg – że szczęście to Bóg – że miłość to Bóg... Cały ów wieczór na kamieniu pod lipą z Bronisławą przesiedziany był wstępną życia mojego modlitwą.

Jeśli Karol i Bronisława tak wyraźnym, lecz jedynym w mej przeszłości odbili się wspomnieniem, daremnie bym za to Cypriana i Terenię chciał w tych pierwszych latach dzieciństwa jakąś wyłącznością odznaczyć sobie, widzę ich w każdej godzinie, mam w pamiętce każdej – Cyprian malował mi lub przez innych namalowane pokazywał obrazki. – Terenia o każdym z nich i jemu, i mnie cudowne opowiadała historie – lecz gdybym chciał powtórzyć te, co na mnie więcej zrobiły

wrażenia, to by końca temu i przez dziś, i przez jutro nie było; ja przecież w czternastym roku dopiero ich słuchać przestałem, a kiedy zaczął, doprawdy? – sam nie wiem. Z nazwiskami otaczających mnie rzeczy, jednocześnie usłyszałem tysiące dziwnych wyrazów, jak np. zaczarowana księżniczka, piękny rycerz, cudowny sygnet, czarodziejski zamek, diamentowe podziemne pałace – ogniste duchy na chmurach lecące – i to wszystko ułożyło się jakoś w naturę moją, nie na zabobon, nie na słabość charakteru, ale prędzej bym powiedział na jakąś dziwną siłę fantazji; – kiedyś – gdy wam się uiszczę z wywołanej życzeniem waszym powieści mego życia i gdy znowu tak jak dzisiaj zbierzemy się na dobrą chwilę przed ten ciepły kominek, byle tylko wiatr nie świszczał, to państwu opowiem, którą z tych bajek Tereni. Was to przecież nie znudzi, Henryku, Teklo, Edmundzie – ci, co życia nie znają, ci, co je poznali aż do stracenia ostatniej nadziei, aż do odzyskania najpierwszej spokojności, ci lubią bajki cudowne – wszakże prawda moi drodzy? – Ach te bajki, i te obrazki Cypriana! lecz Cyprian już wchodzi w szaloną biografię moją – a mnie jeszcze myśli i słowa w dawniejszy czas uciekają ku świętym pamiątkom. – O moim ojcu jużeście słyszeli, mój ojciec taki poważny, taki uczony, taki dobry i łagodny. – W szczupłym domku nie było osobnego pokoiku na jego księgi i papiery; lecz kiedy zasiadł do czytania, to bez nakazu, bez przymusu, prostym rzeczy i zwyczajów układem, tak wszystko cichło dokoła, że mógłbyś brzęczenie muchy usłyszeć. – Ja w tym wzrosłem – i nie pamiętam nawet,

żeby mi kto w podobnych razach spokojność zalecał. – Kiedy ojciec książkę roztworzył, matka szła po cichu na palcach przez pokój; siostry i bracia wychodzili najczęściej lub które sobie nieruchomie z robótką w kąciku zasiadało. – Jednego dnia i ja tak zostałem, przerzucając ostrożnie, żeby mi nic a nic nie szeleściły karty starego jakiegoś dzieła in 4-to<sup>4</sup>, w którym były wszystkie wizerunki królów polskich. – Och! mój Boże, jak to ja pamiętam, Cyprian gniewał się na nie, a szczególnie że Wandzie dano rogatą czapkę – a Jadwidze ogromną kryzę, w której niby garbata i jakby dusząca się wyglądała. – Lecz ja nie byłem tak surowym krytykiem, mnie co dzień jak coś nowego bawiły i myszy gryzące Popiela, i ogromna peruka Wiśniowieckiego, i łańcuchy Zygmunów; bo też przyznać trzeba, że na wszystko zupełnie osobnym patrzyłem pryzmatem.

Tego dnia jednak na połowie skończyłem mój przegląd i zacząłem nie w książkę, lecz w twarz naprzeciw siedzącego ojca, bardzo uważnie się wpatrywać, bo za okno wywieszona makolągwa prześlicznie śpiewać zaczęła i miałem ogromną chętkę wybiegnąć do niej, a bałem się ojcu przeszkodzić, tym bardziej, że drzwi się jakoś trudno zamykały i otwierały – kto wie nawet, czy klamka nie za zbyt wysoko dla mej ręki była osadzona. – Patrząc ciągle uważnie, spostrzegłem, jak naraz ojciec brwi zmarszczył i taki groźny twarz jego przybrała wyraz, jak gdyby się na kogo rozgniewał. Potem wsparł głowę na rękę i

---

<sup>4</sup> in 4-to – od łac. *in quarto*, format książki o wymiarze 1/4 arkusza. [przypis edytorski]

przez chwilę nie patrzył na książkę, lecz też przez tę chwilę wyraz gniewu zmienił się w wyraz jakiejś wielkiej, głębokiej boleści, a ciężkie i głośnie westchnienie z piersi mu się wydarło. – Ojczy, ojczy co ci jest? czy cię co boli? – spytałem prędko biegnąc ku niemu. – Ojciec smutnie się uśmiechnął, a dziś jeszcze daremnie bym chciał wypowiedzieć gorycz tego uśmiechu, na owym męskim, pełnym siły i dobroci obliczu. – Bo mój ojciec był dziwnie pięknym mężczyzną. Równego jemu wiekiem, – a równego młodzieńczą prawie rzeźkością i grą fizjonomii, nigdy mi się spotkać nie zdarzyło. – Była to twarz pociągła, trochę żółtawo-błada, nos rzymski, brwi czarne, mocno odznaczone, włosy od czoła rzadsze, i gdzieniegdzie już srebrzące, wśród kruczej innych połyskliwości. Oczy, na które do połowy wypukła zachodziła powieka, wyrażały zwykle poważne zamyślenie i surowość jakąś, lecz za to w całym rysunku ust dość wydatnych było tyle tkliwej słodyczy, tyle pieszczoty prawie, że my dzieci nie bałyśmy się ani troszeczkę nawet całej surowości spojrzenia. Prawda, że też nas nikt nigdy ojcem nie straszył. Wyobraźcie sobie teraz, jakie wrażenie zrobić mógł na mnie gorzki uśmiech na tych zazwyczaj tak dobrych, tak łagodnych ustach.

– Ojczy, ojczy! co cię boli? – powtórzyłem z płaczem nieledwie.

– Mnie to boli – rzekł ojciec, wskazując na książkę.

– Szkaradna, niegodziwa książka – zawołałem z oburzeniem i rzuciłem ją na ziemię.

– Źle robisz synku – odpowiedział, podnosząc ją spokojnie.

– A cóż to jest ojczyste?

– Historia.

– A cóż jest w tej historii?

—

– O mój synku! wszystko, czego już nie ma, wszystko, co jest, wszystko, co będzie, to się znajduje w książkach do tej książki podobnych. – A kiedy ja się dziwiłem bardzo, ojciec pokazał mi kartkę, na której różne znaczki były, i powiedział mi, że za pomocą tych znaczków mogę kiedyś wiedzieć, co robili umarli, słyszeć o czym mówiono najdalej lub najdawniej, widzieć aż po krańce ziemi i nieba, aż po głębię duszy ludzkiej. – Ja też co prędzej wszystkich nauczyłem się znaczków, ich użycie sam ojciec mi wskazał dziwnym sposobem. Pamiętam, kiedy pierwszy raz dał mi do złożenia te słowa: „Mama cię kocha”, to mi potem odebrał elementarz, kazał oczy zamknąć i wyobrazić sobie mamę w tej chwili, gdy nad moim łóżeczkiem schylona budzi mnie pocałowaniem na dnia dobrego życzenie. Później obiecał mi, że w kilku literach zobaczę dużo kwiatów, drzew, owoców i dał mi przeczytać – „ogród” – Później na wyraz – „gwiazda” – przypomniawszy mi, jak to ona maleńka drżącym światełkiem, gdzieś wysoko na niebie migoce, a powiedział mi jednak, że gwiazda to świat. I ja tak nauczyłem się czytać od niego wyraz każdy obrazem, uczuciem i myślą. – Ale wy moi drodzy dziwicie się zapewne, czemu dotychczas o matce mojej nic nie nadmieniłem jeszcze. Ach! bo dla mnie w każdym wspomnieniu ona tak była obecna, tak ją czułem przy sobie,

że mi się zdało, jakbym ciągle o niej tylko albo do niej mówił. – Matka... Czy wy wiecie, dlaczego ja z takim uszanowaniem z drogi ustępuję i głowy uchylam, gdy koło mnie przejdzie w podeszłym wieku kobieta? – czy wiecie wy, dlaczego nieraz w kościele, a nade wszystko w jakim ubogim, małym, wiejskim kościółku, mnie się łzy w oczach zakręca, gdy postrzegę z dala przed stopniami ołtarza klęczącą postać kobiety? – Czy wy wiecie, dlaczego nigdy nie przejdę koło żebraka, bym do niego z jałmużną ręki nie wyciągnął, koło smutnego, bym z chęcią pociechy myśli ku niemu nie zwrócił, koło płaczącego na drodze dziecka, bym go wyrazem pieśczości nie utulił, na ręce nie wziął, w zimie przy własnej piersi nie rozgrzał lub w lecie od przejeżdżających wozów z niebezpiecznego miejsca nie usunął? – czy wiecie wy dlaczego? oto dlatego, bo miałem matkę!... bo w każdej chwili podobnej, zawsze ją widzę przed sobą – tkliwą, anielską, błogosławiącą... tak wszystko czyniącą, jak ja przy niej czynić nawykłem. – Och! doprawdy, kiedy mi się błogie dni pierwszej młodości w pamięci rozwiną – kiedy późniejsze w przeciwieństwo stawię... ale przecież wy nie lirycznej elegii chcieliście ode mnie, ja mam tylko co do wypadków mego życia waszą ciekawość zaspokoić, jednak pozwólcie na chwilkę rozdziwaczenia. Czy się z was komu śniło kiedy, że go z wysokiej bardzo i bardzo stromej góry, np. z takiej góry, z jakiej Chrystus widział wszystkie królestwa ziemi i wszystkie skarby królestw, że go, mówię, z takiej góry w przepaść jakąś strąciła – ot, dajmy na to, ręka szatana, któremu on, co nie jest Chrystusem,

jak Bogowi zaufał. – Przypominacież wy sobie owo spadanie, coraz wolniejsze, coraz cięższe, – ziemia cała już sprzed oczu zniknęła, niebo tylko widać przez małą szczelinę, ale i niebo znika, – a coraz ciemniej, coraz okropniej, a spadający wie, że tam gdzieś na dnie rozbić się musi, tylko dna nie dojrzy, nie dojrzy! – Och! wtedy po pierwszej chwili odurzenia następują długie chwile wściekłej rozpacz – jest czas na wspomnienie każdej radości straconej – wszystkich nadziei swoich, wszystkich czynów swoich, wszystkich wzniosłych zamiarów, wszystkich może wielkich, może dla świata użytecznych zdolności – co tak bez śladu zniszczają – których już nie ma nawet, choć my jesteśmy jeszcze. – A tu jakby dla zaostrenia tortury piekielną fantasmagorią rozwija się przed nami ów obraz na owej górze podziwiany; – i choć poznaliśmy szatana, my czujemy, żebyśmy znowu za jedną chwilę podobną drugi raz wieczność oddali. – I tylko nam sęp żalu kawałami serce szarpie, że gdy się miało umierać, czemu się z tej góry głowy nie rozbiło? – A potem inna boleść, potem widzimy najdokładniej każde ziółko, którego jeszcze w upadku uchwycić się można było, rozważamy każdy sposób, każde podobieństwo ratunku, przekonywamy się, że bylibyśmy nie upadli, że bylibyśmy się podźwignęli – gdyby jeden krok tylko, jedno poruszenie – jedna myśl – a teraz daremnie, teraz praw natury nie cofniemy, zaciężyliśmy nad głębią, trzeba spadać – spadać – spadać! Jedna przyszłość nam została – jedna nadzieja tylko, zdruzgotania się tam na dnie – i gdyby raz już skończyć – gdyby spaść – gdyby nie żyć – cała

rozpacz przesila się w tę szaloną niecierpliwość, ale przepaść głęboka – przepaść Miltonowska<sup>5</sup>, do której to się leci dziewięć dni i dziewięć nocy. Więc niecierpliwość sama siebie zużyła nareszcie – człowiek jest kamieniem – wie i pamięta, lecz nie boleje – nie rozpacza już. Człowiek kamień gdy upadnie, czyż choć tam w głębi – ostatnią iskrą w rozbiciu ostatnim zaświeci? ... Ach! darujcie mi, darujcie państwo, miałem zupełnie o czym innym mówić, ten sen, ta przepaść, to do niczego niepodobne – chyba do tego, com ja czuł na jawie – ale wam niech los szczęści, cieszę się nieskończenie, że mnie tu nikt nie rozumiał.

Ale za to zrozumieliście mój wiek dziecinny i ówczesną naturę moją – wiecie, że zrodziłem się kochanym, wzrosłem kochającym – kochanie, zawsze kochanie, to cały moich kursów pedagogicznych sumariusz; w przydadku do niego nauczyłem się górnictwa i mając rok siedemnasty, zostałem górnikiem.

Od tego to siedemnastego roku zaczyna się dziwaczna powieść bardzo zabawnych zdarzeń – uśmiejecie się serdecznie.

---

<sup>5</sup> *przepaść Miltonowska* – przepaść, w którą zostały strącone przez Boga zbuntowane przeciw niemu anioły z Lucyferem na czele; nawiązanie do dzieła Johna Milтона *Raj utracony*. [przypis edytorski]

## II

W domu rodziców obchodzono Wigilię Bożego Narodzenia. Dzieci się pojeżdżały, bo już nie wszystkie pod rodzinnym żyły dachem. – Dwóch braci ożenionych, Adam i Józef, w dalszych mieszkali okolicach. – Trzy siostry poszły za mąż: Julcia, Bronisia i Terenia. – Karol wojskowo służył w Królestwie i z Lubelskiego na czas krótki tylko za urlopem przyjechał, Cyprian gdzieś aż z Rzymu ostatni list pisał, ja sam z Węgier wracałem, a przy rodzicach aniołem pociechy tylko Ludwinka została – moja Ludwinka zawsze blada, zawsze smutna, zawsze, nawet w chwilach radości swojej, jakby za szczęściem nieujętym<sup>6</sup> tęszniąca<sup>7</sup>. – Ja dziś myślę, że Ludwinka musiała żyć z jakimś utajonym w głębi duszy cierpieniem, jak nieraz kwiatki te kochane jej rosną długo z zjadliwym w cieniu swych listków owadem. Na pewne jednak ręczyć za to nie mogę, Ludwinka nigdy, przed nikim się nie skarżyła.

Wtedy na wigilię, stół długi białym obrusem przykryto, świeżym sianem podesłano i gdy pierwsza gwiazdeczka błysnęła, na odgłos dzwonka zgromadziliśmy się wszyscy koło niego – rodzice, dzieci, wnuki, domownicy.

Matka wzięła opłatek i podając go ojcu:

---

<sup>6</sup> *nieujętny* – nieuchwytny. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *tęschniący* – ortografia, przy której Narcyza Żmichowska upierała się, upatrując w takim zapisie odwołanie do słowa **tchnienie**. [przypis edytorski]

– Do wsiego roku! – rzekła uroczystym, choć lekko drżącym od wzruszenia głosem – do wsiego roku, mężu mój, dzieci wszystkie moje – Do wsiego roku! – Niech każde z was tak kiedyś łamie się chlebem Bożym z rękoma dzielnych synów, szczęśliwych córek, pięknych wnucząt, przyjaznych sług domu swojego; niech kiedyś dłoń, co na jego dłoni z niezawiedzoną ufnością przez długie lata się wsparła, tak mu poda święcony opłatek, jak ja w tej chwili ojcu waszemu podaję – Amen – odpowiedzieliśmy wszyscy – i rodzice rozłamali się opłatkami, a potem matka szła kolejną od najstarszych do najmłodszych, każdemu dając część jego i tej części część oddaną przyjmując; lecz gdy Terenia w następstwie rękę wyciągnęła, matka cofnęła się nieco i łzy jej w oczach stanęły.

– Nie, to kolej oddalonego – rzekła – na imię Cypriana z błogosławieństwem moim, niech będzie aż do chwili jego powrotu ten kawałek opłatka zachowany – i według słów swoich szła go na bok odłożyć...

W tej chwili drzwi się rozwarły – ktoś na progu stanął...

– Matko, syn wraca o dział swój w szczęściu rodzinnym się upomnieć – przemówił głos tak dobrze znany, że każda pierś go okrzykiem radości odbiła.

– Cyprian! nasz Cyprian...

W istocie brat mój Cyprian, malarz, wędrowiec, artysta powrócił...

– Albercie filozofie! powiedz mi, czy jest przeczucie?...

Ha! szczęście twoje, że tak poważnie skinieniem głowy

potakującą dałeś mi odpowiedź, bo cię miałem zaraz drugim uderzyć zapytaniem: dlaczego mnie na wejście Cypriana serce się boleścią ścisnęło?

Tak jest, moi państwo, wyraźnie mówię, boleścią, chociaż w pierwszej chwili nie umiałem jej od wielkiej radości rozróżnić.

Po kilku latach rozstania witać brata, współnika myśli i zabaw dziecinnych, witać ze łzą w oku, drżącą ręką i bladym czołem, mnie się to zdawało, tylko nowym jakimś na uczucie szczęścia sposobem. Sposób dziwny jednak... później dokładniej zdałem sobie z niego sprawę i dziś ręczyć mogę, że on był tylko boleścią przerażenia.

Cyprian matkę najpierw uściskał, ojca rękę najpierw ucałował, a potem siostry jedna przez drugą cisnęły się ku niemu, a które z nich dzieci miały, to mu je wyciągały na rękę, do wcześniejszej pieczyoty, na lepsze powitanie. – Ja ostatni się zbliżyłem.

Cyprian objął mnie za szyję, lecz nim do piersi przycisnął, zatrzymał się jakby zdziwiony – oczy jego utkwily w mej twarzy, dłonie zeszytywniały niby na moich barkach – i tak mię trzymał przez chwilę oddalonego ich wyciągnięciem – i tak patrzył ciągle na mnie – i tak dziwny uśmiech zachwycenia z ust jego rozświecił, że sam go nie pojmując, odśmiechnąłem się także i niby przemocą uwalniając się z narzuconego rozdziału:

– Cóż to? – rzekłem – czy Beniamina tylko nie poznałeś?

– Och! Matko, jaki on cudnie piękny! – zawołał Cyprian do stojącej za nim, odwracając się nieco.

– Więc dlatego już mię i przywitać nie chcesz?...

Cyprian przywitał może radośniej niż nasze całe rodzeństwo, ale czy serdeczniej?... ja nie wiem, jednak z pewnym wyrzutem mu rzekłem:

– Zdaje mi się, żeś w tej chwili więcej malarzem niż bratem.

– Prawda – odpowiedział przycichłym, uciętym głosem i znowu patrzył na mnie.

Bo ja podobno piękny, ale to bardzo piękny wtedy byłem – dzisiaj nie wierzyłabyś temu Anno, i wy wszystkie zaprzeczyłybyście – dzisiaj oczy mi wpadły, wyblakły, zagasty – włosy zrzedniały, bodaj czy już i siwieć nie zaczynają, skóra na chudych policzkach urysowała się szkaradnymi zmarszczkami – cera nie szerniała i nie zbladła, tylko zaschła, niby jakiś papier zbrudzony – a usta wykrzywiły się w taki nałogowy uśmiech niesmaku, że wesołym aż nudno patrzeć na mnie. Co to jest tak się zestarzeć w dwudziestym szóstym roku swego życia!... wszak prawda, moje panie, że to się nie godzi? Ha! przynajmniej na pociechę mogę powiedzieć sobie, że kiedyś piękny byłem... piękny... piękny...

Cyprian ile razy spojrzał na mnie, to mu niby jaśniejsza myśl widomie po twarzy przeciągała – czasem zamykał oczy, jak gdyby tej myśli chciał się lepiej w swojej własnej głowie przypatrzeć, a czasem też coś go niby gniewało na mnie i brwi marszczył, warg przygryzał. – Ta ostatnia zmiana coraz częściej zaczęła mu z końcem wieczerzy na rysy wybijać, bo ja także baczniejszą na niego zwróciłem uwagę.

Gdy pierwsze uniesienie wzajemnych powitań uspokoiło się nieco, gdy twarz Cypriana uściskami ożywiona, przejściem nagłym pod światło i ciepło rozgrzana, zaczęła powoli do zwyczajnego wracać układu – aż mię zimno wskroś przejęło, tak okropnego wyniszczenia śladów na niej dostrzegłem.

Cyprian miał wszystkie rysy ojca, lecz jasne włosy i płeć białą matki. – Teraz, rysy owe wyciągnęły się bez żadnej proporcji, płeć niegdyś tak świeża nabrała kredowej martwości, otwory oczu zwiększyły się wprawdzie, ale oczy gdzieś pod czoło głęboko uciekły – wyłysiał, ot, więcej prawie niż ja dzisiaj, nos mu okropnie zgarbiał, broda naprzód wyszczerzyła, – szczęki kościste ledwo skóry nie przebijały.

Matka trwożliwie spoglądała na niego – zapewne uważać to musiał, bo przez chwilę milczący i niby znużony, ożywił się znowu, zaczął głośno rozmawiać, śmiać się, opowiadać tysiączne swej podróży szczegóły. Nawałem słów, jak widać, i prędkością poruszeń, chciał Cyprian oszukać ten wzrok matki badawczy, smutny, a niemylny, chorobliwe usposobienie zwyciężyło go jednak na chwilę – zaciął się nagle i długo tłumionym kaszlem wybuchnął.

Między kobietami ruch niespokojny powstał. – Cyprian skinął na nie, żeby jemu i sobie dały pokój – usta chustką zasłonił, a potem ostatek napadu w pusty śmiech przeprowadził.

– To nic, to nic, zakrztusiłem się tylko – rzekł, prędko chustkę do kieszeni chowając.

Ja siedziałem tuż przy nim i sam jeden spostrzegłem, że krew

była na chustce.

– Ten kielich waszej spokojności święcę – mówił dalej wesoło.

– Napij się lepiej wody – szepnąłem mu z cicha i po karafkę sięgnąwszy, niby nie naumyślnie trąciłem go tak mocno, że wszystko wino z kieliszka na obrus się rozlało.

Cyprian zwrócił się ku mnie niecierpliwym ruchem.

– Braciszku, trochę jesteś niezgrabny – to szkoda – i z wyraźnym niezadowoleniem patrzył mi w oczy – przetrzymałem wzrok jego.

– Napij się wody – powtórzyłem w pół z prośbą, w pół z rozkazem.

– Napiję, czego chcesz Beniaminku – odpowiedział trochę rozjaśniony uśmiechem – napiję choćby i octu z żółcią, bo znów jesteś prześliczny, ale jednej rady mojej usłuchać musisz...

– Trzech rad twoich Cyprianie – tylko ty dwa słowa przyjmij ode mnie – jesteś chory – rzuciłem mu do ucha.

– O tym potem – rzekł jak najobojętniej i wypróżnioną szklanką mocno w stół uderzył, by zgłuszyć zamienione ze mną wyrazy.

– Moja rada, Beniaminie, jest ta, że przede wszystkim powinieneś być szczęśliwym – ale to powiadam ci, koniecznie szczęśliwym, bo jak nie, to zbrzydniesz – zbrzydniesz tak okropnie, że nawet Ludwinka, która wszystko smutne lubi, nie pozna cię wtedy i minie ze wstrętem.

Pocziwa siostra zaprzeczyła temu co prędzej – lecz Cyprian nie chciał ustąpić.

– Z zupełną pewnością wyrokuję w tym względzie – mówił on – studiowałem jako malarz różne przemiany, różnych wrażeń i na różnych rysach – przysiąc wam mogę, że Benjamin okropnie zbrzydnie w nieszczęściu – bo jego twarz do odbijania samej tylko radości stworzona...

Och! już co wtedy, to się sam za sobą ująłem.

– Radością ją widzisz w tej chwili – rzekłem – może nawet dziecinną jeszcze, ale skąd tobie być prorokiem moich uczuć w chwilach odmiennych, mojej twarzy w niepewnej przyszłości? Więc ja tak słaby i wąły jestem? – a niedawno chwaliłeś piękność moją – jaką piękność? czy roślinną – według gatunku i koloru – zdrowia i czerstwości. – Ja myślałem, że mi z czoła za pierwszym spojrzeniem wyczytałeś wszystkie ducha tajemnice i dojrzawszy w nich własnej istoty odbicia – tym artystycznym słowem „piękny” powitałeś – a ty, jak teraz poznaję, tylko linię i farby miałeś na pamięci.

– Gniewaj się, gniewaj dziecko moje – z uśmiechem na te wszystkie wyrzuty odpowiedział.

Ja się nie gniewałem, ale mi się okropnie smutno zrobiło.

– Cyprianie – rzekłem po chwili – choćby się nawet miała ziścić twoja przepowiednia – mniejsza o to, ja śmiało nieszczęście do walki wyzywam, będę brzydszym, ale będę lepszym.

– W nieszczęściu?

– Tak jest! w nieszczęściu, kiedy spróbuję wszystkich sił moich, użyję wszystkich praw człowieczeństwa – bo walka

z nieszczęściem jest najwyższym prawem – bo walka z nieszczęściem jest siłą najwyższą!

Coś ja podobno i więcej o tym mówiłem, lecz teraz słówka sobie nie przypominam nawet, a choćbym chciał z natchnienia brak wspomnień wynagrodzić, to doprawdy trudniej jeszcze, nie mogę ani w uczuciu, ani w rozumie znaleźć coś podobnego – do tych błogosławionych marzeń świeżej wyobraźni. – Wzniósłem nieszczęście do potęgi ideału – na cześć jego złożyłem hymn i ostatnią myślą ostatniej zwrotki jego cisnąłem złym losom najdumniejsze wyznanie. Szalony!...

Cyprian słuchał, patrzył się – uśmiechał – gdym skończył, jego białe, długie palce od niechcienia zamieszały się w moje po góralsku na ramiona spadające włosy i rzekł niby sam do siebie:

– Jakie to dziecko! jakie to piękne dziecko jeszcze! – On nie wie, że w najwyższości swojej, istota ludzka ma tylko władze używania, zdolność do szczęścia – siły do stwarzania rozkoszy – a jednak choć od matki, to słyszał przecież o dziewiątym niebie, gdzie twarz w twarz z Panem Bogiem przez całą wieczność wybrani się radują... Walka z cierpieniem... jemu się zdaje, że to będzie chwila takiej improwizacji, jaką teraz ułożył, takiej gry nerwów, takiego przyspieszonego krwi obiegu, jak go obecnie doświadczył – moje najdroższe, najśliczniejsze dziecko – to będzie jednak zupełnie coś innego – a palce jego przez całą długość włosów moich musnęły – to będą te włosy – mówił dalej – te cudnie, słoneczno promieniejące włosy, zrzedniałe i zsiwiałe od nocy bezsennych; to będą te myśli, dziś grające

po mózgu tysiącem obrazów tęczyowych, zawikłane w jakieś obliczania wypadków, czynów, prawdopodobieństw i fałszów – to będą te piersi tchnące dziś pełnią życia, zachrzypte<sup>8</sup> kaszlem, zerwane astmą; – to będzie to oko szklisto-czarne, powleczone siatką krwawych żyłek i żółcią nabiegłe – to będzie choroba, odrętwiałość, wielki kłopot o majątek, o kobietę, o jakiś plan życia może, ale nie będzie walka z nieszczęściem, jak ty ją sobie wyobrażasz, Beniaminku. – Tobie się zdaje, że nieszczęście wygląda jak biały anioł w czarne krepy uwinięty, z gorejącym mieczem w dłoni i dlatego chciałbyś z nim pójść już w zapasy – och! wierzę bardzo, że nie zbrzydłbyś wtedy – lecz ja ci powiadam, że nieszczęście wcale nie anioł żaden – nieszczęście wygląda jak pies, co milczkiem kąsa, jak stara dewotka, co pobożnie obgaduje, jak Żyd lichwiarz obszarpany, co dukaty obrzyna, i co ci wszystką złotą monetę życia twojego fałszuje – nieszczęście wygląda jak pijanica nad rankiem – jak nietoperz – jak błoto – jak palce z zanokcicą – jak brudna chustka od nosa – fe! fe! słuchaj mojej rady, bądź lepiej szczęśliwym Beniaminku – i głośnym śmiechem, a cichym kaszlem zakończył.

Nikt z nas się nie zaśmiał wzajemnie – każdemu ciężko było pod słowami owej dziwnej ironii – Bronisława tylko rzekła:

– Zabawnie wypowiedziałeś wielką prawdę, Cyprianie – ależ na drugi raz nie ubieraj jej w takie łachmany, bo się dzieci straszą, – i schyliwszy się do wspartego o jej kolana synka – prześlicznego chłopczyny, z szerokim, bladym czołem, z

---

<sup>8</sup> zachrzypty – dziś: zachrypty. [przypis edytorski]

wielkimi, ciemnymi oczyma:

– Nieszczęście, mój Bohdanie, brzydkie jest bardzo – przydała – gdyż nieszczęście to jest – złe, które się zrobiło, i dobre, którego się zrobić nie mogło – grzech twój lub grzech ludzi, braci twoich – unikajże nieszczęścia.

Chłopczyk zamyślił się i po chwili odpowiedział:

– Będę unikał, matko.

Nic nie mówiąc, wskazałem go Cyprianowi – Cyprian zrozumiał tę przymówkę, lecz wstrząsnął głową – popatrzył trochę i rzekł niedbale:

– To wcale co innego – Bohdan starszy od ciebie – on dziś – a ty jutro.

W żaden sposób nie mogliśmy się porozumieć.

Na koniec też i wieczór się skończył – wszyscy spać poszli według tego, jak gdzie komu starania Ludwinki nocleg przyrządziły.

Karol, Cyprian i ja dostaliśmy maleńką na poddaszu izdebkę.

Cyprian pierwszy się położył i o zgaszenie świecy upomniał. Zmęczonemu podróżą, choremu nawet, jak to z twarzy jego było widać, nie chcieliśmy chwil do spoczynku potrzebnych zabierać. Poszliśmy oba za jego przykładem, skoczyli prędko w łóżka nasze i prędej jeszcze zasnęli owym smacznym, błogosławionym, pierwszym snem wszystkich nocy spokojnej jeszcze młodości – przynajmniej ja tak usnąłem.

Nagle, w parę godzin może, blask mię jakiś przebudził. – Patrzę – aż tu Cyprian stoi nad moim łóżkiem.

W jednej ręce trzymał on zapaloną świecę, a drugą tak jej płomień obejmował, żeby cień w stronę Karola padał, całe zaś światło na mnie – przez rozchrzestaną<sup>9</sup> koszulę widać było jego piersi zapadłe, i wszystkie kości z anatomiczną dokładnością spod skóry się rysujące – rzekłbyś, że to szkielet jaki z lekka tylko cielistą błoną pociągnięty, lecz za to całe życie trupich piersi do twarzy jego uciekło, – była to twarz na ową chwilę grą nerwów i mięśni, do pierwszej młodości wrócona – były to oczy ciepłym promieniem bijące – usta, purpurą świeżej krwi wypełnione, czoło, jakby od niewidzialnej gwiazdy jaśniejące – była to jednym słowem głowa wskrzesiciela – na ramionach umarłego. – Sprzeczność uderzająca, niesłychana a cudna.

Pod jej urokiem, w chwili niespodzianego przebudzenia, nawet sobie wyrazów na zapytanie dobrać nie mogłem – przetałem tylko oczy, zerwałem się i usiadłem. – Brat lekko mię znów ręką na postanie przechylił i dał znak milczenia.

– Cóż to jest? – spytałem go się wreszcie.

Cyprian trochę brwi zmarszczył, siadł na brzegu łóżka, świecę jeszcze zupełnie ku twarzy mojej obrócił, ale nic nie odpowiedział.

– Cóż to jest? – powtórzyłem raz drugi.

Znowu milczał – lecz po chwili:

– O czym ci się śniło? – zagadnął mię wzajemnie.

– Nic a nic nie pamiętam – odrzekłem, gdyż tak było w istocie.

– To bardzo źle, Beniaminie – spróbuj, może przypomnisz

---

<sup>9</sup> rozchrzestany – rozchełstany; niedbale rozchylony. [przypis edytorski]

sobie.

– Doprawdy, nie mogę ani słówka.

– A ja bym dał sobie lewą rękę po sam łokieć uciąć, żebyś mógł.

– Nie czekaj na to Cyprianie, bo się przeziębisz jeszcze. – Jak można z takim kaszlem w noc Bożego Narodzenia wstawać boso i nawet płaszcz nie zarzucić.

Brat syknął i ust przygryzł.

– Ja pytam, co ci się śniło? – powtórzył z przyciskiem.

– Pomówimy o tym, tylko weź co cieplejszego na siebie lub połóż się przy mnie.

– Słuchaj, Beniaminie – rzekł brat z powściągniętą, ale widoczną niecierpliwością – mnie dalibóg żadne alpejskie zimno nie szkodziło – spałem kilka razy pod śniegiem – byłem na górach, gdzie mi oddech w ustach marznął i wróciłem stamtąd zawsze zdrowszy, rzeświejszy; – lecz jednego dnia, gdy się rozgniewałem, zaraz mi krew nosem i ustami buchnęła – przestrzegam cię o tej ułomności mojej braciszku – nie gniewaj mnie. – Bo to, widzisz mój drogi – ciągnął dalej, jakby zgadując niespokojne zadziwienie moje – są chwile życia, których nie trzeba na drobniańskie wrażenia roztrwaniać: – „a to się zaziębisz – a to weź co ciepłego – a to jedz – a to pij – a to tak – a to owak”. – Cierpieć nie mogę całej tej trzygroszowej troskliwości – jeśli na nią będziesz uczuciem szafował, to kiedyś w wielkim przesileniu i serca ci zabraknie. – Mnie jak o życie chodzi o przywołanie twego sennego widziadła – mnie w

głowie przyszłość – sława... a ty kaszel przypominasz i gdybym pozwolił tylko, byłbyś bżowymi ziółkami zaczął mię częstować.  
– Czyś ty Niemka rozkochana, czy siostra szpitalna? – Toć to wytrzymać trudno!

– No już nic, już nic nie powiem – lepiej ty mów, czego chcesz?

– Chcę wiedzieć, o czym ci się śniło?...

– A to dziwny człowiek! chyba z natchnienia naprędcie sen jaki ułożę.

– I owszem, proszę, układaj...

– Otóż słuchaj – śniło mi się, że z drżącą lampką w rękę spuszczałem się do głębokiej pieczary – w pieczarze były skarby tak wielkie...

– Kłamiesz Beniaminie, ja ci mogę lepiej twój własny sen przypomnieć – zastanów się tylko, czyś nie roił, że byłeś Grekiem w pięknych młodej Grecji latach.

– Och! nie, za to ci ręczyć mogę – we wszystkich snach przeszłego i przyszłego życia, jestem zawsze tatrzańskim górnikiem – synem ojców moich.

– Alboż ty wiesz, Beniaminie? może ci się też śniło, że byłeś poetą, lecz zrozumiemy się dobrze – nie takim poetą z piórem w rękę, z palcami w atramencie uwalanymi, nad drewnianym stolikiem, a do tego jeszcze w szlafroku i pantoflach – och! nie, może ci się śniło, że byłeś poetą w dawnych wiekach i na młodszej ziemi, że miałaś siedmiostrunną lutnię w dłoni, a nad sobą tylko niebo, a dokoła siebie zamiast czterech ścian

wilgotnego muru, przestrzeń bez końca i mur życiem bijących piersi. I wtedy śpiewałeś sobie pieśń wielką, głośną, śmiałą, a lud słuchał – czuł – wierzył – i śmiał się, i płakał – i w żelazne miecze dzwonił według tego, jak pieśń brzmiała. – A pieśń twoja Beniaminie – i wieniec olimpijski twój – bo dla tłumu wielu śpiewało, lecz ty sam zwyciężyłeś – tobie tłum ludu padł pod nogi i bracia-mistrze się ukorzyli. – No, cóż myślisz? snem takim, czyżby śnić nie warto – chociażby potem zaniemieć<sup>10</sup> na wieki...

– Prawdę rzekłeś, bracie, ty lepiej ode mnie moje własne sny pamiętasz – snem poety ja nieraz marzyłem, ale bez wieńca olimpijskiego – bez ukorzonych współzawodników – bez tłumów u nóg moich – marzyłem tylko, że wszystkie serca tętnem krwi mojej biły – że w moim uczuciu spromieniło się każde w świat Boży rzucone uczucie – że byłem ze wszystkimi i wszyscy byli ze mną – nie niżej, nie dalej, tylko tuż pod bratniej ręki dotknięciem, tuż w samym dźwięku mej pieśni.

---

<sup>10</sup> zaniemieć – dziś popr.: oniemieć. [przypis edytorski]

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.